

Bratnie dusze

Pamiętam jak przybył tamtego dnia do Klamath. Było południe i słońce okropnie paliło. Panował okropny upał powodujący nieznośne pragnienie więc poszedłem do domu. Po chwili wyszedłem z metalowym kubkiem i napełniłem go w pobliskiej studni.

Pijąc usłyszałem nerwowe szczekanie psów, na które rozejrzałem się wokół szukając powodu irytacji zwierząt. Zobaczyłem człowieka zmierzającego do miasta. Nie był to nikt stąd, ponieważ był zupełnie inaczej ubrany.

Był to wysoki mężczyzna którego jak widać cywilizacja omijała do tej pory. Brązowe oczy patrolowały ze stoickim spokojem okolice, czarne włosy sięgające do jego wielkich barków falowały na wietrze. Miał na sobie brązowe spodnie kryjące w bocznej kieszeni lewej nogawki nóż. Na szyi widniał naszyjnik z kłami szczurokreta.

W miasteczku wszyscy przyglądali mu się ze strachem, ale także z zaciekawieniem. Wszedł do baru Becky. Pobiegłem pod okienko baru żeby przyrzeć się tej ciekawej postaci. Usiadł przy ladzie i zamówił drinka. W barze panowała niemal cisza, od czasu do czasu dały się usłyszeć ciche szepty bywalców lokalu. Przybysz zdążył wypić zaledwie dwa łyki kiedy nagle do baru weszli bracia Dunton. Widząc nieznanego im osobnika, podeszli do niego i rozpoczęli swoją zaczepkę.

- Hej dzikusie! To moje miejsce więc spływasz stąd! - krzyknął na osobnika jeden z braci Dunton i podszedł do niego jeszcze bliżej. Nigdy nie lubiałem tego człowieka. Trudnił się "handlem", a ponoć także kradł brahminy lecz nikt nie mógł mu tego udowodnić. "Dzikus" wstał a następnie popatrzył w oczy Duntona z zimnym spokojem. Przez chwilę nic nie mówili tylko wpatrywali się w siebie.

- Spływasz stąd dzikusie albo pożałujesz - powtórzył Dunton. Dzikus chlapnął mu w oczy resztkami drinka i uderzył go z całej siły w zęby. Dunton upadł na ziemię oszołomiony silnym ciosem, a jego brat rzucił się z pięściami na dzikusa lecz po otrzymaniu kopnięcia w brzuch przewracał stoliki baru wijąc się w bólu.

W tym momencie pchnięty wewnętrznym impulsem wbiegłem do baru by pomóc przybyszowi. Swoją drogą miałem osobiste porachunki z tymi gburami i wiedziałem, że przyda im się wreszcie solidna nauczka.

- Może tak dwóch na dwóch!? - krzyknąłem stając obok dzikusa.

- Nie wtrącaj się Jackson! - warknął Dunton spluwając krwią na podłogę. Dzikus podszedł do bliższego z napastników i podniósł go. Cios kolanem w krocze niemal pozbawił Duntona przytomności. W tym czasie ja uderzyłem dwukrotnie w brzuch jego brata. Ten sukinsyn próbował wyciągnąć nóż z tylnej kieszeni, lecz został zatrzymany moim podbródkowym.

Usłyszeliśmy dźwięk odbezpieczanego pistoletu za swoimi plecami.

- Koniec tej burdy, ręce do góry! - powiedział szeryf. Został widocznie powiadomiony przez mieszkańców. Posłusznie unieśliśmy ręce i wolno odwróciliśmy się w stronę szeryfa. Przed nami stał mężczyzna średniego wzrostu.

Szeryf ubrany był w kurtkę ze skóry brahmina, z lewej strony, na wysokości żeber znajdowała się pusta w tej chwili kabura. Szeryf celował w nas ze swojego siedmiokulowego rewolweru. Pomocnicy szeryfa zakuli nas i zawlekli do aresztu. Cały czas opieraliśmy się, próbując jednocześnie wytłumaczyć szeryfowi, że to Duntonowie nas zaatakowali.

Areszt mieścił się w niewielkim budynku w północno-zachodniej części Klamath. Zabudowania w Klamath były zbudowane głównie z desek i kawałków blach, ale ten budynek był murowany. Zamknięto nas w małej celi. W powietrzu wisiał zapach zgnilizny, a od betonu czuć było wilgoć i chłód, który mimo gorąca przejmował nieprzyjemnie człowieka.

W areszcie było jeszcze kilkunastu osadzonych. W osobnej celi zakrytej kotarą w okrutnych warunkach trzymane były ghule. Szeryf znany był ze swoich rasistowskich poglądów, mieszkańcy wiedzieli jak były traktowane ghule, nikt jednak nigdy nie odważył się mu postawić.

- Macie pecha. Jutro przyjeżdża szeryf z Redding. Zabiorą ten syf z Klamath. - powiedział i splunął na podłogę.

Dzikus nie reagując na stróża prawa ułożył się na pryczy w kącie pomieszczenia. Ja usiadłem na drugiej. Po krótkiej chwili milczenia odezwał się do mnie.

- Dzięki za pomoc kolego. - zaczął.

- Nie ma sprawy. Mów mi Jackson. - odpowiedziałem

- Ja nazywam się - powiedział wstając z pryczy i podchodząc do mnie z wyciągniętą w przyjacielskim geście ręką. - Davis Ryan. Jestem kupcem z Broken Hills. - ciągnął dalej.
Był już wieczór, ale nie mogliśmy zasnąć. Następnego dnia obudzono nas. Była godzina siódma rano. Szeryf wstawał zwykle wcześniej, chodził powoli wokół tych kilku cel, budząc wszystkich denerującym stukotem rewolwera o metalowe szczeble krat. Gdy doszedł do naszej celi, kucnął nad naszymi głowami i hałasował nieznośnie swoim rewolwerem. Nagły stukot nad głową wystarczył nas zerwaliśmy się na równe nogi.
- Masz jakieś imię dzikusie? - zapytał szeryf
- Davis Ryan - odpowiedział .
- A ty? - wskazał na mnie.
- Jackson - odpowiedziałem.
- Zapiszemy to. Jeśli mnie okłamaliście, pożałujecie tego. - powiedział wstając i odchodząc do pobliskiego biurka.
- Po jaką cholere ich tak poturbowałeś? Nie mogłeś ustąpić? Nic by ci nie zrobili, byli tylko trochę pijani. - wtrącił jeden z pomocników podając miskę z jedzeniem. Nie odpowiadając wziął miskę i jadł powoli metalową łyżką jakby obawiając się, że to świństwo może być zatrute. Szeryf siedział w tym czasie za biurkiem i wypełniał jakąś starą księgę. Po chwili odezwał się do Davisa.
- Dziwne nazwisko jak na dzikusa.
- Bo nie urodziłem się w Arroyo, z którego też przybywam. Jestem mieszkańcem Broken Hills.
- Broken Hills? - zdziwił się szeryf - A co u licha robiłeś w Arroyo?
- Handlowałem. - odpowiedział wpatrując się w okienko celi. - głównie skórami gekonów, ale czasami wciskam tym zacofańcom różne świecidełka.
- Jutro jest piątek i jak co tydzień przyjeżdża szeryf z Redding odebrać od nas różne plugastwa. Tacy jak ty przybywają do tego miejsca, szukając azylu, a być może łatwego łupu na bezbronnych mieszkańcach, ale Klamath zmieniło się mniej więcej rok temu. Wprowadziliśmy zakaz noszenia wszelkiej broni, wybudowaliśmy areszt i nawiązujemy współpracę z innymi ośrodkami prawa. Tymczasem nie będziesz narzekał na nudę przez cały cholerny dzień. Mamy kilka atrakcji. - Po czym skinął na pomocników, którzy uwalniali i zakuwali w kajdany kolejnych więźniów.
Krótki wąż kryminalistów ciągnął się powoli wśród porannego słońca, które będąc nisko jeszcze, rzucało ciepłe promienie na ich twarze. Szli na zachód przez prawie kilometr. Doszli do niewielkiego kamieniołomu.
- Łapać się za kilofy i do roboty! I żadnych numerów bo odstrzelę łeb! - krzyknął szeryf. Po chwili dały się słyszeć powolne jednostajne uderzenia metalu o skały. Słońce okropnie paliło, zwłaszcza teraz w samo południe. Lekki wiatr nie przynosił żadnej ulgi, przeciwnie sypał proch w oczy pracujących.
Po całym dniu ciężkiej pracy odprowadzono ich z powrotem do aresztu w Klamath. Skazańcy otrzymali niewielkie racje żywnościowe. Szeryf oznajmił wszystkim że jutro przyjeżdża szeryf z Redding, po czym więźniowie udali się na spoczynek.

Na stróża prawa nie czekali długo. Przyszedł ze swoimi ludźmi przed południem. Skazańcy czekali przed aresztem skuci ze sobą tworząc razem węża składającego się z garstki osób. Mężczyzna w pancerzu bojowym szedł w towarzystwie dziesięciu ludzi ubranych w podobne zbroje z tą różnicą, że szeryf nie nosił hełmu. Szeryfowie rozmawiali na osobności przez kilka minut.
- Przygotowałeś ich dla mnie, Colin? Hmm... Niewielu ich masz. Będzie z nich mało kasy. - odrzekł mężczyzna w bojowym pancerzu.
- Nie mogę każdego odesłać z tobą. To wyglądałoby podejrzanie, gdyby pod byle pretekstem byli zabierani przez ciebie, Miller. - odpowiedział Colin.
- Trzydzieści procent za każdego z nich... Jednak tchórzostwo wygrało z chciwością co? - Wyrzucił Miller śmiejąc się przy tym szyderczo. Po chwili rozkazał swoim ludziom przejąć przestępców z Klamath. Dziesiątka ludzi uzbrojona w strzelby przyprowadziła ich do szeryfa.
Miller przez chwilę przyglądał im się uważnie. W rękę przez cały czas trzymał Mausera, zapewne dla przestraszenia kombinatorów próbujących ucieczki. Zostali następnie wyprowadzeni z miasta pod okiem strażników. Po opuszczeniu terenów miasta szli jeszcze jakąś godziną na południe.

Dotarli na miejsce obozowiska reszty ludzi szeryfa, gdzie dołączyło do nich jeszcze piętnastu uzbrojonych ludzi. Zabrali ze sobą także przyczepę na której trzymano cały prowiant. Szeryf zatrzymał całą grupę i odwrócił się w stronę więźniów.

- Prowadzimy was do Redding, gdzie zostaniecie sprawiedliwie osądzeni i skazani lub odesłani z powrotem do swoich domów. A teraz ruszamy w drogę. - oznajmił i ruszyli dalej. Maszerowali dobre kilka godzin, robiąc od czasu do czasu krótkie postoje. Na dłuższy odpoczynek zatrzymali się dopiero, gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Więźniowie usiedli na ziemi. Kilku ludzi szeryfa rozpałało ogniska. Przy ciepłym i mdłym ogniu wydawali raczej wody.

Szeryf siedząc przy ognisku pił wodę i oglądał mapę. Zawołał po imieniu dwóch ze swoich ludzi, na co tamci przybiegli, kucnęli przy nim i zdjęli hełmy.

Przy słabym świetle przyglądając się rozmowie ujrzeliśmy w bladym świetle twarz trzydziestolatka z dwudniowym zarostem. Na lewym policzku miał długą na kilka centymetrów szramę. Oglądał mapę i rozmawiał z szeryfem przez krótką chwilę. Drugi z nich, azjata przysłuchiwał się rozmowie odpowiadając krótkimi wyrazami. Niestety siedzieli zbyt daleko by usłyszeć choć fragment z niej.

- Taylor, Shimizu podejdźcie tutaj - zawołał szeryf Miller. - Spotkanie z nimi powinno nastąpić gdzieś w tym miejscu. - powiedział pokazując palcem punkcik na mapie. - Spotkamy się prawdopodobnie gdzieś po południu, wyjdziecie im na przeciw żebyśmy się nie rozminęli.

- Tak jest. - odpowiedzieli razem.

- Będziemy trzymać kontakt radiowy z tobą szefie. - rzucił Taylor. - A gdzie mamy ich zaprowadzić?

- Tutaj są ruiny niewielkiego cmentarza. Czekać tutaj na nas. - rozkazał Miller. - A teraz dajcie mi odpocząć i ruszajcie wreszcie.

Mężczyźni wstali i odeszli w mrok pustkowia. Przyglądający się temu z zaciekawieniem Davis szturchnął mnie łokciem.

- Ciekaw jestem gdzie idą. - powiedział odprowadzając ich wzrokiem.

- Nie mam pojęcia. I mało mnie to obchodzi w tej chwili. - odrzuciłem.

Wkrótce usnęliśmy. Spaliśmy spokojnie przez całą noc jak gdybyśmy zapomnieli w jakiej znajdujemy się sytuacji i że obserwują nas ludzie Millera.

Davis otworzył oczy. Przez kilka sekund nie mógł się ruszyć. Całe ciało miał odrętwiałe. Chwilowa niemoc przestała go obejmować. Podniósł się powoli i rozejrzał obracając głowę we wszystkich kierunkach. Strażnicy zaczęli budzić innych. Szeryf Miller był już na nogach od jakiejś godziny. Poprawiał swój pancerz i polerował Mausera.

Po krótkim śniadaniu (jeśli można nazwać nim resztki iguany rzuconej skazańcom) wszyscy byli na nogach i ruszyli dalej. Po piętnastu minutach marszu na południe odbili nieco na południowy-wschód. Weszli na pobliski pagórek. Z większej wysokości roztaczał się wyśmienity widok na pustkowie.

Przed nimi aż po horyzont martwe, wyjąłwione piaski pustyni. Z tego bezkresnego morza wypływały na powierzchnię małe zarośla. Niewielkie krzaki chwastów rosły pojedynczo, ich uschnięte łodygi sięgały zaledwie kilkanaście centymetrów ponad ziemię.

Poniżej ukazał się mały cmentarz. W tym miejscu szeryf Miller miał spotkać się z Taylorem i Schimizu. Zatrzymali się na cmentarzu, gdzie zrobili postój.

Miller oddalił się o kilkanaście metrów rozmawiając przez radio i wpatrując się w dal przed sobą. Po upływie przeszło pół godziny ukazała się grupa kilkunastu ludzi z Taylorem i Schimizu na czele. Prowadzili ze sobą ludzi ubranych w czarne skórzane kurtki. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Więźniowie ujrzawszy nowych przybyszów patrzyli ze zdziwieniem na siebie i na ludzi Millera pytając co to znaczy. Trzech lub czterech zaczęło uciekać, ale kolby strzelb i karabinów w rękach strażników szybko i boleśnie ich powstrzymały.

- Leżeć kundle! - warknął jeden ze strażników.

- Nareszcie! - krzyknął Miller. - Dokonamy teraz wymiany. - mówiąc to odwrócił się w stronę skazańców.

- Nie jedźcie na sąd do Redding. Zostaniecie teraz sprzedani, a co się z wami dalej stanie już mnie nie..

- tu przerwał mu celny strzał w lewą łopatkę, po którym brocząc krwią osunął się na ziemię.

W tym samym czasie odezwała się seria która skosiła kilku strażników i bandytów. Zapanował chaos. Skazańcy rzucili się na ziemię i czołgając się z głową schowaną w rękach szukali schronienia za płytami nagrobków. Jednak większość rzuciła się do walki wręcz ze strażnikami. My także rzuciliśmy się do walki. Davis podbiegł do najbliższego strażnika, złapał jego strzelbę i wykręcając ją szybkim ruchem w stronę brzucha właściciela nacisnął na spust. Wystrzał rzucił martwego strażnika na ziemię wyrwijąc mu na wylot w pancerzu sporej wielkości otwór.

Ja w tym czasie zaszedłem od tyłu ostrzeliwującego się bandytę. Wyciągnąłem nóż z kieszeni bandyty i szybkim cięciem pozbyłem się kłopotu. Niestety inny z bandytów strzelił mi z pistoletu w korpus. Upadłem na ziemię i straciłem przytomność. Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że ponoć bandzior nie zdążył mnie dobić, gdyż padł pod postrzałem w brzuch.

Zdezorientowani bandyci i strażnicy pomimo usilnych prób schowania się przed strzelcami padali jeden po drugim jak muchy. Nie byli w stanie namierzyć strzelców. Strzały padały jakby znikąd. Odzywające się od czasu do czasu serie nie były później, aż tak groźne jak pojedyncze strzały. Widocznie "tamci" mieli wśród swoich snajperów.

Bandyci próbowali strzelać w różne zarośla z których domyślali się ukrytych strzelców. Z niewielkim skutkiem, ponieważ strzały nie ustawały. Kiedy padł ostatni z bandytów strzały ucichły powoli.

Bardzo niewielu zdołało przeżyć. Z kilkunastu skazańców zdołało przeżyć tylko pięciu. Davis, który wyszedł z potyczki bez żadnego zadrapania, odszukał mnie na pobojuwisku. Kiedy opatrywał mi ranę odzyskałem na chwilę przytomność. Nie mogłem nic powiedzieć, bardzo osłabłem.

- Leż spokojnie, już po wszystkim. - powiedział do mnie.

Na cmentarz zaczęły przychodzić dziwne postaci. Zjawili się niespodziewanie. Ciała mieli skrzętnie okryte kawałkami szmat. Zaczęli opatrywać rannych skazańców. Davis pobiegł do jednego z nich, kiedy wrócił z tamtym człowiekiem obraz przed oczami zaczął mi się rozmywać i znów straciłem przytomność.

* * *

Otworzyłem oczy. Obok łóżka na którym leżałem czuwał Davis.

- Obudziłeś się. Nic ci nie będzie, opatrzyliśmy cię dobrze. - pocieszył mnie.

Do pokoju wszedł drugi osobnik. Mój wybawca okazał się niskim ghulem. Ubrany był w jasnobrązowy płaszcz, głowę zakrytą miał kapturem. Podszedł do mojego łóżka i ściągnął kaptur odsłaniając zniszczoną wiekiem i przeżyciami twarz.

- Widzę, że czujesz się lepiej. - powiedział uśmiechając się lekko.

- Dziękuję za pomoc. Podajcie mi wodę... - odrzekłem. Suchota w gardle nie dawała powiedzieć nic więcej.

- Podziękujesz kiedy wyzdrowiejesz. - odpowiedział i podał manierkę. - Kula minęła płuco o kilka centymetrów. Miałeś farta kolego.

Łapczywie wypilem kilka łyków, ta ciecz jeszcze nigdy mi nie smakowała bardziej. Odstawiając manierkę zapytałem:

- Jak się nazywasz przyjacielu?

- Liam, jestem przywódcą ghuli i twoje szczęście, że znam się także na zszywaniu. - odpowiedział.

- Skąd się wzięliście wtedy w okolicy tego cmentarza? I dlaczego nam pomogliście?

- Od dawna polowaliśmy na Millera. Handluje ludźmi, ale także ghulami. Poza tym cmentarz leży kilka dni drogi od naszej siedziby. - wyjaśnił Liam.

- Ilu was jest? I kim wy jesteście? - odpowiedziałem serią pytań.

- Myśle, że mogę cię wtajemniczyć... Tutaj około czterdziestu, ale mamy też inne siedziby. Zrzeszamy głównie ghuli, ale przyjmujemy każdego kto pomoże nam w walce z uciskiem ghuli i ludzi.

- W Klamath przetrzymywane są ghule. Musimy ich uwolnić!... - mówiąc to podniosłem się nieco, ale rana, która dała o sobie znać odebrała mi resztki sił.

- Leż spokojnie. - zmartwił się Liam. - Twój kompan Davis nam o wszystkim opowiedział. Za kilka dni wyruszymy by uwolnić braci. - odrzekł Liam.

- Tak. Czekają nas jeszcze jedna potyczka, ale ty zostajesz tutaj brachu. - powiedział Davis.

- Potyczka nie będzie się przedłużać. Mam świetnych strzelców. - uśmiechnął się szyderczo Liam.

- Mówisz o snajperach? Skąd macie karabiny snajperskie? To trudna broń do zdobycia.

- Wcale nie mamy karabinów snajperskich. To nieco ulepszona broń myśliwska. - wyjaśnił.

- Gdzie się właściwie schowaliście? O ile pamiętam to strzały padały... znikąd! - zapytałem.

- Siedzieliśmy w wykopanych jamach. Znajdowaliśmy się o jakieś 70 metrów od cmentarza. Jamy otaczały promienieście cmentarz, i strzelaliśmy z kilku kierunków. - powiedział.

Kilka dni później Liam zebrał i uzbroił grupę dziesięciu ghuli, w tym mojego przyjaciela Davisa, który postanowił im pomóc. Przywódca ghuli wyznaczył jednego z nich by opiekował się mną. Ja wracałem powoli do zdrowia. Postrzał goił się bez większych komplikacji czy niespodzianek.

Nadszedł dzień w którym oddział Liama miał wyruszyć do Klamath. Przyszli do mnie pożegnać się, życzyli mi także powrotu do zdrowia i ruszyli.

Słońce chowało się za horyzontem. Szybko się ściemniało, ale ta noc była ciepła. Wiatr z północy uderzał lekkimi falami ciepła. Liam, Davis i ósemka innych ghuli byli o trzy dni drogi od Klamath.

Postanowili przenocować w ruinach czerniących się w tej chwili na widokłęgu.

- Rozpalcie ognisko przed tym hotelem, a my rozejrzemy się po okolicy - rozkazał Liam i skinął na podwładnych. Dwaj ghule posłusznie rozpalali ognisko, tymczasem reszta oddziału podzieliła się po połowie i przeszukiwała ruiny miasta. Budynek jako jeden z niewielu był prawie nieuszkodzony. Hotel "Azyl" miał dwa piętra, z czego najwyższe było w niewielkim stopniu uszkodzone. Zniszczenia lub wiek odbiły na nim piętno w postaci uszkodzeń tynku a nawet ścian. Porozbijane okna i wyłamane okiennice mogły być dowodem rabunku.

Liam i Davis szli powoli oglądając oświetlone blaskiem księżyca ruiny wieżowców miasta. Posępne budynki budziły dziwną grozę swoim wyglądem. Zdawało się jakby chciały wykrzyczeć historię swoją i swoich mieszkańców. Gdzieś tam pomiędzy gruzowiskami wylaniał się zasypany i porzewiały wrak samochodu. Davis zauważył leżącą na ziemi zabawkę. Podniósł zniszczoną i ubrudzoną lalkę.

Wtem ozwał się krótki krzyk i wystrzał. Bez chwili namysłu skierowali się biegiem na pomoc kompanom. Nim dotarli na miejsce zdarzenia, usłyszeli jeszcze serię z karabinu maszynowego.

- Co się tam dzieje u licha!? - rzucił Liam, biegnąc cały czas przed siebie. Ujrzeni czterech ghuli nachylających się nad cymś.

Na ziemi leżały trzy trupy. Ghule, które rozpałały ognisko, zostały rozszarpane przez niedużego Szpona Śmierci. Nie zdążyli nawet spostrzec co ich zaatakowało. Jeden z nich oddał mimowolny strzał kiedy łapa stworzenia dosięgła jego głowy. Kilka metrów dalej leżały zwłoki Szpona śmierci.

Kiedy zwierzę rozszarpało dwóch nieszczęśników, rzuciło się na drugą część oddziału, która przybiegła wcześniej. Widok Szpona wystraszył ich nieco, ale szybko ochłonęli i wystrzelili serię w szarżującego potwora.

Uratowała ich chłodna ocena sytuacji. Kule dosięgły szyi Szpona, który padł dławiąc się własną krwią. Jego cielsko zaryło w gruzy i piach. Szpon był młodym samcem, mierzył około dwóch metrów. Liam stracił dwóch żołnierzy. Teraz zostało ich ośmiu.

Pochowali szybko zabitych kolegów i w środku nocy opuścili ruiny miasta. Nie chcieli ryzykować następnego spotkania z czymś takim, a nie byli pewni czy gdzieś nie kryją się inne Szpony Śmierci.

Dowódca postanowił nie rozdzielać więcej i tak niewielkiego już oddziału. Wszyscy maszerowali w milczeniu. Mimo braku wytchnienia nie byli zmęczeni czy senni.

Liam zastanawiał się czy mógł zapobiec niepotrzebnej śmierci podwładnych, a jednocześnie kompanów i przyjaciół. Po oddaleniu się na bezpieczną odległość, zatrzymali się i spali kilka godzin. Wyruszyli nim słońce zaczęło wychylać się na niebo.

Chcieli dojść do Klamath, kiedy będzie jeszcze jasno. Maszerowali cały dzień, międzyczasie omawiając plan działania.

Najpierw strzelcy usuną wartowników, którzy patrolują teren wokół aresztu. Davis potwierdził, że mają dwóch wartowników, w środku urzęduje szeryf i jeszcze kilku jego pomocników. Za pomocą dynamitu wysadzą bliższą południową ścianę (cele więźniów mieściły się po przeciwległej stronie, nie było więc obawy, że zranią nie tych co trzeba) wystrzelają ludzi w środku i uwolnią więźniów. Atak miał rozpocząć się w nocy, ze względów większego zaskoczenia.

Kilka godzin później na horyzoncie ukazało się Klamath, a także złowrogi budynek aresztu. Udało im się dotrzeć w czasie jaki planowali. Czerwona tarcza słońca powoli, lecz nieustannie schodziła w dół, aż w końcu przesłonił ją horyzont.

Liam i Davis przyglądali się z ukrycia najbliższej okolicy aresztu. Liam patrzył przez lornetkę zawieszoną na szyi. Stara wojskowa lornetka, była przybrudzona piaskiem. Miała rozbitą jedną soczewkę, ale wciąż przydawała się dowódcy ghuli. Reszta ghuli wypoczywała przed walką.

Zatrzymali się o kilkaset metrów od miasta. Gdyby nie świetne techniki kamuflażu ghuli, Liam i Davis już dawno zostaliby wypatrzeni, nawet teraz gdy późnym wieczorem leżeli na ciepłym piasku pustkowie, który oddawał jeszcze nagromadzone ciepło.

- Do rozpoczęcia akcji zostały jeszcze dwie godziny. Wszyscy moi ludzie odpoczywają, ty także udaj się na spoczynek. - poradził Liam.

- I tak nie będę mógł zasnąć - odpowiedział Davis.

- Ja także nie mogę zasnąć. Mimo wszystko próbuj przynajmniej poleżeć spokojnie i daj odpocząć zmęczonym mięśniom. - odezwał się pierwszy. Davis posłuchał i zostawił ghul. Stary dowódca czujnym wzrokiem patrolował okolicę.

Ten mierzący jakieś 167 centymetrów wzrostu ghul miał około sześćdziesiątki. Przeładowywał i czyścił swoją Berettę. Nosił ten pistolet, nie tyle dla podkreślenia swojej rangi co dla względów zdrowotnych. Postrzał z dawnych lat uszkodził rękę.

Lewa ręka od przedramienia w dół aż do palców nie była całkowicie sprawna. Nawet po zagojeniu się rany nigdy nie odzyskała też dawnej siły.

Dwie godziny później wszyscy byli gotowi do rozpoczęcia akcji. Strzelcy byli ustawieni na pozycjach. Mieli czekać na sygnał. Liam dowodził grupą uderzeniową. Podkradli się możliwie najbliżej budynku.

Liam opuścił uniesioną rękę na znak rozpoczęcia ostrzału. Rozległy się strzały, wartownicy upadli martwi na ziemię. Grupa była już o kilkanaście metrów od aresztu. Jeden z ghuli wystąpił naprzód z przygotowanym ładunkiem.

Tymczasem z budynku wyszło kilku ludzi lecz zostali szybko wyeliminowani przez ukrytych strzelców. Ghul w pośpiechu podłożył dynamit i odsunął się na bezpieczną odległość.

Eksplozja wyrwała dziurę w ścianie przez którą wrzucili granat dymny i wskoczyli do środka. W budynku wywiązała się krótka strzelanina, podczas której zginęli wszyscy ludzie szeryfa łącznie z nim samym. Został zastrzelony przez Liama. Niestety jeden z ghuli został ranny. Rannego ghula szybko wyniesiono, uwolniono także więźniów.

Podsumowując cała akcja trwała zaledwie kilkanaście minut. Zabitych brak, jeden ciężko ranny - postrzał w brzuch. Uwolniono piętnastu osadzonych w tym siedmiu ghuli, którzy przyłączyli się do drużyny. Zdobyli kilka sztuk broni i nieco amunicji. Zadanie wykonane.

Pozostało wycofać się i wrócić do "bazy wypadowej". Pod osłoną nocy opuścili w pośpiechu teren miasta. Wystrzały i eksplozja obudziły pół miasteczka, ale ludność bała się wychylać z domostw. Rannego ghula nieśli na rozłożonym płaszczu.

Biedaczysko okrutnie cierpiało. Trzymał kawałek szmaty przy ranie, inaczej szybko wykrwawiłby się. W pełni sprawnych zostało siedem luf. Zmierzali na południe już pół godziny. Księżyc świecił na niebie oświetlając im drogę.

- Zatrzymujemy się. Połóżcie go tutaj. Ostrożnie! - rozkazał Liam. - I dajcie trochę światła. Nic nie widzę do cholery. Julian ty miałeś latarkę. Dawaj ją tu.

Ghul w pośpiechu wyszperał z plecaka metalową latarkę.

- Trzymaj ją w tym miejscu. Teraz jest dobrze. - ponaglił i poprawił Juliana.

- Davis trzymaj manierkę w pogotowiu. - Rzucił. Oglądał postrzał ghula. - Przemyj to ostrożnie. A tobie nic nie będzie, słyszysz? wywiniesz się z tego. - pocieszył rannego i podał mu zioła, po których ranny usnął. - Ruszamy!

Żołnierze podnieśli ostrożnie rannego i ruszyli dalej. Szli z przodu w milczeniu. Za nimi w niewielkiej odległości rozmawiali Liam i Davis.

- Nie dożyje wschodu słońca. Nawet gdybym miał narzędzia nic bym nie zdziałał. Wszystko było zaplanowane jak najlepiej! - zmartwił się Liam.

- To nie twoja wina. W walce takie rzeczy się zdarzają. Nie możesz obwiniać się za każdym razem, gdy któryś zginie. Pomyśl także, że uratowałeś siódmkę ghuli. - odpowiedział Davis. Po tych słowach zamilkli obaj. Nad ranem ghul skonał. Pochowali go w piaskach pustkowia. Szli następnie przez kilka godzin po czym zrobili postój na posiłek.

Mieli suchary i paski suszonego mięsa, które popili chłodną wodą. Ruszyli dalej na południe. Dotarli wreszcie do swojej kryjówki.

Mała budka przypominała typowy dom trapera. W środku otworzyli klapę w podłodze i zeszli drabinką w dół. W korytarzach wydrążonych w ziemi znajdowały się zwykłe mieszkalne pomieszczenia. To miejsce było ich ostoją bezpieczeństwa.

Drużyna została powitana z radością. Ghule cieszyły się z powodzenia akcji, ale także opłakiwały poległych współbraci. Powitałem ich będąc już na nogach. Rana wygoiła się porządnie. Byłem wdzięczny za pomoc, ale czułem, że moje miejsce jest gdzie indziej. Chciałem ruszyć do Redding i tam osiedlić się. Davis postanowił także wrócić do Broken Hills. Zostaliśmy jeszcze dwa dni. Wyekwipowali nas porządnie i już na powierzchni pożegnali.

- Dlaczego nie zaprzestacie walki i nie zamieszkacie w Broken Hills? Tam nie musielibyście walczyć o swoje. - zaproponował Davis.

- Może kiedyś tak zrobię, ale w innych miastach wciąż żyją ghule traktowani jak wyrzutki i kryminaliści i zatrzymywani często siłą. Czuję się zobowiązany pomóc im. To przecież bratnie dusze. - odpowiedział Liam. Podziękowaliśmy za wszystko i odeszliśmy.

Przez jakiś czas szliśmy razem na południe, rozmawiając ze sobą. W pewnym momencie nasze drogi rozdzielały się. Pożegnałem przyjaciela i ruszyłem w kierunku Redding na zachodzie, Davis poszedł na wschód do Broken Hills. Może jeszcze go kiedyś spotkam - pomyślałem idąc powoli przez pustkowie.

Piotrek-v13